

fundację podobną do Fundacji im. A. Humboldta dla elitarnych zagranicznych studentów. Nie stać nas zapewne na finansowanie tysięcy takich studentów, ale możemy przyjąć setki. Powinien także powstać elitarny międzynarodowy instytut studiów zaawansowanych – nie w Wiedniu, lecz w Krakowie lub Warszawie, i za polskie pieniądze. Po trzecie, jeśli zależy nam rzeczywiście na zmianie obrazu Polski, jej historii i kultury w Niemczech, Polskę powinno być stać na ufundowanie przynajmniej jednej katedry polskiej kultury i historii w Niemczech, na przykład na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Znaczenie takiej katedry będzie nieporównanie większe niż setek doraźnych imprez. To wszystko oczywiście będzie kosztować. Kto jednak powiedział, że niepodległość nie kosztuje? Pomysł, że politykę kulturalną i historyczną Polski zawsze sfinansuje ktoś inny, jakaś zagraniczna fundacja czy instytucja, jakiś zagraniczny milioner-filantrop jest wyrazem tej samej naiwności, która do niedawna panowała w stosunkach polsko-niemieckich.

TOMASZ MERTA

## PAMIĘĆ I NADZIEJA

I. Polityka historyczna jest konieczna, a w pierwszym piętastoleciu III Rzeczypospolitej w ogóle jej nie było – takie stwierdzenie powraca jak refren w toczonych w ostatnich okresie sporach. Ten sposób rozumowania wydaje się jednak nieco wątpliwy (chyba, że pojęcie polityki historycznej zamierzimy jedynie do świadomego działania państwa): żyjąca społeczność chce nie chcą pozostaje zawsze w pewnej relacji do dziedzictwa poprzednich pokoleń i nawet jeśli sobie tego nie uświadamia, nieustannie je przetwarza i selekcjonuje. Ważnym czynnikiem kształtowania tożsamości grupowej jest określenie pola tego, co wspólne oraz wskazanie tradycji, do jakiej pragnie się nawiązywać. Pytanie „skąd przychodzimy?” nigdy nie pozostaje bez odpowiedzi, bo nawet milczenie jest jej bardzo symptomatyczną formą.

„Polityczność” stosunku do swojej przeszłości wyraża się w konieczności dokonywania trudnych nierazko i jedynie częściowo uświadomionych wyborów. Z wielkiej skarbnicy przeszłych zdarzeń wybieramy to, co wydaje się szczególnie ważne i konstytutywne dla naszej tożsamości. Selekcja i hierarchizacja elementów tradycji nie jest równoznaczna z możliwością swobodnego jej konstruowania. PRL-owski projekt stworzenia alternatywnej wersji naszej przeszłości nie powiódł się, niezależnie od tego, jak wiele spustoszenia posiał w wielu umysłach<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Niepowodzeniem zakończyła się przede wszystkim próba budowy nowego układu politycznych odniesień, w którym np. miejsce Piłsudskiego zająć mieli działacze robotniczy i rewolucyjni. Więcej sukcesów władze PRL-u odniosły tam, gdzie szło jedynie o przesunięcie akcentów, bądź też usunięcie w cień pewnych postaci czy zdarzeń.

Wybór tradycji nie oznacza prostego zapominania, ani prawa do arbitralnych manipulacji, ale do przesuwania akcentów, w zgodzie ze współczesnym stanem świadomości. Taka polityka historyczna oznaczająca ciągłe odnawianie „opowieści” o przeszłości, jaką chcemy opowiedzieć samym sobie i naszym dzieciom, nie musi być sprzeczna z celami i efektami pracy historyków, choć też z pewnością nie jest z nimi tożsama. W polu zainteresowania historyka znajdują się nierzadko i te obszary, które z punktu widzenia tradycji nie mają większego znaczenia. Świętowanie rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja jako symbolicznego aktu potwierdzającego zdolność narodu do samouleczenia ma się przecież nijak do rozważań na temat rzeczywistej prawnej wartości dokumentu, czy podkreślania, iż jego praktyczne znaczenie nie mogło być wielkie, skoro właściwie w ogóle nie wszedł w życie.

Wedle sugestywnej formuły Edwarda Shilsa tradycja to konsensus w czasie – zgoda co do tego, na jakiej wizji przeszłości wspiera się nasza tożsamość. Oczywiście, taki konsensus nigdy nie jest pełny – zawsze obecne pozostają głosy malkontentów, krytyków czy kontestatorów. Nie świadczą one jednak o niemożności wytworzenia się jakiegokolwiek konsensusu (choć czasem można się z takim argumentem zetknąć), tak jak istnienie całkiem licznej grupy krytyków pierwszej Solidarności nie zmienia tego, że stała się ona częścią narodowego konsensusu, jako nie tylko ruch politywny, ale i powód do prawdziwej narodowej dumy. Mówiąc jeszcze inaczej: taki konsensus nie oznacza ujednolicenia i nie wyklucza pluralizmu. Wręcz przeciwnie: rodzi się jako skutek pluralistycznej dyskusji, która w demokracji wcale być nie musi i nie powinna, jak sądzą niektórzy, niekonkluzywnym *perpetuum mobile*, ale może prowadzić do wyciągnięcia powszechnie akceptowanych wniosków.

Konstytutywny dla tradycji wybór z pewnością narusza równowagę między tym, co w przeszłości dobre i tym, co wstydlive – ale bo też oceniany jest nie ze zgodności z zasa-

dami warsztatu historyka, ale ze zdolności do organizowania wspólnoty. W tym sensie doświadczenia pozytywne okazują się ważniejsze od negatywnych i haniebnych, a bohaterowie od zdrajców i tchórzy. Taki ideał, wspierający się na fundamencie wspólnotowych emocji, ma ogromne znaczenie nie tylko dla spistości społecznej, ale także dla komunikacji międzypokoleniowej jako centralny element każdej *paidei*. W *Etyce Solidarności* Józef Tischner pisał: „Wybierając Ojczyznę, wybieramy również własną historię. Wybór własnej historii oznacza, że pewne wydarzenia odsuwamy na plan dalszy, inne stawiamy sobie w sposób szczególny przed oczyma jako jakiś wzór. Ma to ogromne znaczenie. Nawijając do historii, człowiek ma udział w godności tych, których dzieło kontynuuje”<sup>2</sup>.

Zamiast więc mówić o braku polityki historycznej w III Rzeczypospolitej, warto pokusić się o rozpoznanie, na czym polegała specyfika projektu takiej polityki, jaki został po odzyskaniu niepodległości zaproponowany. Jego odmienność najłatwiej zobaczyć na tle polityki historycznej ruchu Solidarności w latach 1980-1981, kontynuowanej następnie w latach stanu wojennego.

II. Walka o odzyskanie przestrzeni symbolicznej, jeśli nawet nie znajdowała się w samym centrum działań Solidarności, to jednak z pewnością stanowiła bardzo istotny ich element. Upamiętnianie ważnych wydarzeń – i to nie tylko z najbliższej przeszłości – służyło nie tylko jednoczeniu członków ruchu, ale miało charakter świadomego przeciwstawienia się tej wersji historii Polski, jaką propagowały komunistyczne władze. Była to więc prawdziwa bitwa o pamięć, w której wizję fałszywej ciągłości kreowanej przez propagandzistów PRL-u chciano zdemaskować, zastępując inną, bardziej pozytywną i zgodną z emocjonalną pamięcią i świadomością Polaków. Ta druga wizja – choć skazana na banicję w przestrzeni oficjalnej – nie znikła przecież, ale wiodła cichy ży-

<sup>2</sup> J. Tischner, *Etyka Solidarności*, Kraków 2000, s. 115.

wot w domach rodzinnych, grupach przyjaciół i kościołach. Jej powrót na scenę publiczną miał charakter eksplozji, by nawiązać do głośniego tekstu Bronisława Baczki: „Polska czasów «Solidarności», czyli eksplozja pamięci”. Polacy upomnieli się o swoje prawo do przeszłości w spektakularny sposób: „Była to istna lawina manifestacji, komemoracji, uroczystości i symboli, niezliczone artykuły poświęcone historii, publikowane w prasie legalnej i nielegalnej; zmiany nazw ulic, fabryk itp.”<sup>3</sup> Co zaś najważniejsze, rewindykacja sfery mitów narodowych dokonywała się w sojuszu z prawdą historyczną, bo rzecz dotyczyła nie rozkładania akcentów, ale rewindykacji zupełnie skonfiskowanych obszarów przeszłości. Wysiętek chcącego zbadać i obiektywnie opisać mord w Katyniu historyka harmonizował z poczynaniami publicystów czy działaczy Solidarności pragnących obnażyć kłamstwa władz i uczcić pamięć poległych bohaterów. Jeśli historyk w tym czasie coś demaskował, to raczej perfidię władz niż narodowe mity. Te rozkwitają z ogromną siłą, co zresztą u niektórych obserwatorów rodzi od razu niepokój, czy nie jest to otwarcie drzwi dla nacjonalizmu i megalomanii narodowej<sup>4</sup>. Mimo wszystko głosy krytyków okazują się być mało słyszalne, tak jakby wątpliwy powstrzymywali się od słów, które mogłyby zdemobilizować społeczną „armię” w przededniu rozstrzygającej bitwy.

Przeszłość w okresie Solidarności nie jest traktowana jako coś antykwarycznego, interesującego co najwyżej zdiwacznych hobbystów. Klarowny – choć rzadko może wyrażany – jest dla wszystkich związek pomiędzy odnowioną wizją historii a wychowaniem patriotycznym i obywatelskim. Uroczystości i obchody pozwalają odczytywać przesłanie dawnych zdarzeń we współczesnym, aktualizującym świetle.

<sup>3</sup> B. Baczko, „Polska czasów «Solidarności», czyli eksplozja pamięci”, [w:] *tenże, Wyobrażenia społeczne*, Warszawa 1994, s. 213.

<sup>4</sup> W tym kontekście odczytywać można choćby esej Jana Józefa Lipskiego „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy”, zresztą nawet w cytowanym tu tekście Bronisława Baczki znajdujemy na ten temat nieco uszczypliwych uwag.

Dążenie do niepodległości, umiłowanie wolności, szacunek dla idei prawa, przywiązanie do religii, okazują się być zbiorem najważniejszych symboli i dyspozycji, przez które polska wspólnota identyfikowała się w przeszłości i wciąż na nowo potrafi się rozpoznawać. „Aktualizacja przeszłości – pisze Baczko – za pośrednictwem dotyczących jej wyobrażeń i symboli pozwala potwierdzić wartości uznawane za najistotniejsze dla tożsamości i kultury narodowej. Chodzi tu także, a może przede wszystkim o wartości chrześcijańskie i katolickie, obecne w czasie całej historii narodu i mające kapitalne znaczenie dla jego przetrwania. Krzyż, msze na powietrzu, pieśni religijne, portrety Jana Pawła II towarzyszą, jak widzieliśmy, wszystkim pochodom. Podobnie określone są wartości związane z wyobrażeniem Ojczyzny i wielkości narodowej i miłości wolności i niepodległości, godność narodowa, wyższa nad podziały solidarność, duch poświęcenia i heroizm”<sup>5</sup>.

Batalia o rewindykację przestrzeni symbolicznej i wizję przeszłości nie kończy się wraz z wprowadzeniem stanu wojennego, ale zmienia z konieczności swoją formę. Ta partyzancka walka, widoczna choćby w niezwykle liczbie książek historycznych wydawanych przez podziemne wydawnictwa, okazywała się zresztą całkiem skuteczną, wpływając nawet na kształt oficjalnej propagandy historycznej, która w latach osiemdziesiątych zamiaszt ideologicznej buńczuczności zalecała się (bezsukcesyjnie, oczywiście) rzekomy realizmem politycznym, broniącym swoich fałszerstw nie jako prawdy o przeszłości, ale jako skutku geopolitycznych uwarunkowań.

Prawdziwa i zaskakująca radykalna zmiana miała się dokonać dopiero u zarania III Rzeczypospolitej.

III. Różnicę tę można przedstawić obrazowo z pomocą... korony orła. W latach 1980-81 noszenie orzełka z koroną było powodem do dumy i sposobem manifestowania swojej

<sup>5</sup> B. Baczko, *dz. cyt.*, s. 238.

przynależności do solidarnościowego ruchu. W latach stanu wojennego znakiem sprzeciwu wobec władzy, a nierzadko nawet aktem odwagi. Z pewnością nie było wtedy traktowane jako rzecz na poły dziwaczna, na poły komiczna. Tymczasem, gdy wraz z powstaniem III Rzeczypospolitej orzeł odzyskał koronę, akt ten był niejednokrotnie ośmieszany, przedstawiany jako zupełnie nieistotny czy też wobec potrzeb nowej rzeczywistości zupełnie nieadekwatny. Jak to możliwe, że przestrzeń symboliczna niemal z dnia na dzień uznana została za niewartą uwagi, bo pozbawioną znaczenia? Czy stało się tak tylko dlatego, że dla poważnej części elit język historycznych symboli i mitów był jedynie rodzajem broni, z pomocą której zwalczali komunizm, a do jej samostnej wartości wcale nie byli przekonani? Z pewnością po 1989 r. dawało się zauważyć naturalny odpływ pewnych społecznych zainteresowań – książki historyczne, wspomnienia z łagrów, literatura antykomunistyczna nie znajdują już tak wielu jak w poprzednich latach czytelników. Szczerze mówiąc, trudno jednak rozstrzygnąć, jaka była sekwencja zdarzeń: czy najpierw „historia” przestała interesować ludzi, czy też najpierw powiedziano im, że stała się niemodna i niepotrzebna.

Na „odwrót” od historii złożyło się w III Rzeczypospolitej kilka obiektywnych okoliczności, a także kilka subiektywnych, choć bardzo mocnych przekonań. Z pewnością odzyskanie niepodległości musiało zredefiniować status historii i jej miejsce w świecie społecznych wyobrażeń. Stan mobilizacji, w jakim Polacy z mniejszym czy większym zaangażowaniem żyli w latach osiemdziesiątych, dobiegał swego naturalnego kresu. Historia jako orzeł przeciw komunizmowi nie była już potrzebna, skoro uznano – pochoinnie być może – że walka o wizję dawnej przeszłości została zakończona i jej rezultat jest dla wszystkich oczywisty (gdy zaś okazało się, że oczywisty wcale nie jest, uznano, że taki brak rozstrzygnięcia jest nieunikniony i wręcz konieczny ze względu na utrzymanie pokoju społecznego). Na znaczeniu straciły

też funkcje jednocząca i kompensacyjna, które niewątpliwie grały poważną rolę w „historyczno-symbolicznych” działaniach Solidarności. Z jednostkowej perspektywy sprawy „wielkie” zdawały się być nierzadko zatratwione na tyle dobrane, że nadszedł czas na krzątanie wokół spraw „małych”. Przemiana dumnych bojowników w społeczeństwo na doboru była zrozumiała, pytanie tylko, czy rzeczywiście musiało towarzyszyć świadomość bezużyteczności i anarchiczności historii. Z pewnością ktoś otwierający mały sklepik, czy też robotnik stający w obliczu zamknięcia fabryki, w której pracował wiele lat, nie ma już tak wiele czasu i ochoty, by oddawać się celebrowaniu przeszłości, ale czy istotnie musi od razu zacząć myśleć, że wszystko to jest nieważne i pozbawione wartości?

Nie wydaje się prawdopodobne, by tego rodzaju procesy zachodziły automatycznie, a tym bardziej, by świadome działania elit i państwa nie mogły tej erozji świadomości do pewnego przynajmniej stopnia powstrzymać. Przyszłość można wybierać zarówno opierając się na przeszłości, jak i odwracając się do niej plecami. Bronisław Baczko pisał w cytowanym już artykule: „...pamięć i nadzieja stanowią opozycję tylko w abstrakcji; w rzeczywistości jedna uzupełnia i żywi drugą...”. Gdyby pokusić się o rekonstrukcję dominujących w III Rzeczypospolitej wyobrażeń na temat historii i jej społecznych funkcji, można by chyba dowiedzieć, że w ich centrum znalazło się właśnie – różnie uzasadniane – rozerwanie więzi pomiędzy pamięcią i nadzieją. Takie przesłanie – niewyrażone może wprost – niosła ze sobą polityka historyczna III Rzeczypospolitej, która najpewniej w sposób właściwy należałoby nazwać antypolityką.

Historia traktowana była w niej już to jako zbędny bałast, już to jako coś potencjalnie niebezpiecznego, co może rozsądzić fundamenty budowanego właśnie demokratycznego porządku. Takie nastawienie było zapewne wypadkową

kilku czynników. Przede wszystkim traumatycznego doświadczenia polityki historycznej państwa totalitarnego, w którym okazywała się ona być jedynie ordynarną manipulacją, bezwzględna przeciwniczka prawdy historycznej, łamiącą kariery lub charaktery tych, którzy nie zgadzali się na uczestnictwo w tworzeniu orwellowskiej nierzeczywistości. Dla wielu osób pojęcie polityki historycznej budziło jedynie złowróżbne skojarzenia – propagandowego użycia (równoznacznego z nadużyciem) historii w służbie przodującej ideologii i głoszącej ją partii.

Skoro polityka historyczna kojarzyła się z państwem totalitarnym, w naturalny sposób wyciągano stąd wniosek, że państwo demokratyczne nie powinno w żadnym razie podejmować żadnych politycznych działań w tej delikatnej sferze, że polityką historyczną demokratycznego państwa prawnego może być jedynie brak polityki. Co najwyżej – pamiętając o doświadczeniu powojennych Niemiec – można było formułować ostrożne tezy o „negatywnej” polityce historycznej, która piętnuje to, co w przeszłości złe i niebezpieczne. Pogląd ten wzmacniała swoista interpretacja idei demokracji liberalnej, w której za jedyny konieczny warunek dobrego funkcjonowania systemu politycznego uznaje się konsensus proceduralny. Implementacja zbioru podstawowych zasad demokracji i reguł różstrzygania politycznych sporów oraz dobre zaprojektowanie instytucji demokratycznych okazuje się wedle tego poglądu decydujące dla zaistnienia i utrzymania demokracji. Demokracja proceduralna nie jest rzecz jasna zupełnie wolna od wartościowania, bowiem już same instytucje i procedury wspierają się muszą na pewnym etycznym minimum, kluczowe jest jednak coś innego – że wszystko, co poza i ponad owymi procedurami okazuje się być wtórne i niekonieczne. Niektórzy teoretycy demokracji (Giovanni Sartori) chociaż akceptują z grubsza powyższe założenie, uznają jednak konsensus podstawowy (np. co do wartości akceptowanych przez daną społeczność) za warunek co prawda niekonieczny, ale sprzyjający trwało-

ści demokracji. Jak się jednak wydaje, pogląd dominujący w Polsce szedł o krok dalej – zakładał, że konsensus podstawowy jest dla funkcjonowania demokracji obojętny, a może nawet okazać się destrukcyjny. Intuicję tę wyraża powracająca po wielokroć myśl, że różnorakie choroby i patologie obecne w sferze publicznej zagrażają jedynie jakości demokracji, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo dla jej istnienia stanowi nacjonalizm, zmierzający do ograniczenia wolności i pluralizmu. „Zasadniczą kwestią w określeniu nowego modelu ładu demokratycznego – stwierdza Zdzisław Krasnodębski – pozostał jednak stosunek do tradycji narodowej: czy postreza się ją przede wszystkim jako źródło zagrożenia dla demokracji, czy też jako czynnik określający jej kształt i ją stabilizujący?”<sup>7</sup>

Wieloletni trening w szkole szyderców miał najpewniej największy wpływ na tak wysoki poziom nieufności do polskiego konsensusu podstawowego, który traktowano jako naturalne środowisko rozwojowe dla megalomanii narodowej i nacjonalizmu<sup>8</sup>. Wizja, w której Polacy okazują się narodem, mogącym w każdej chwili przemienić się w złowrogą hydrę, nie miała może wiele wspólnego z rzeczywistością, lecz skupiały się w niej jak w soczewce inteligentkie łęki poprzednich generacji, wzmocnione w dodatku komunikacyjnymi próbami zbudowania nacjonalistycznej legitymizacji dla swojego panowania. Okres solidarnościowy zdawał się być początkowo czasem przezwyciężenia „szyderczych” odruchów (*vide* fascynujące opowieści inteligentkich obserwatorów wydarzeń w Stoczni Gdańskiej, którzy z pewnym zażenowaniem pozwalają sobie na „zawstydzające”, „prymitywne” patriotyczne wzruszenia), jednak z perspektywy czasu znaczenie tego aspektu minimalizowano, koncentrując się na tym, co mogło być zinterpretowane jako oznaki nowej

<sup>7</sup> Z. Krasnodębski, *Demokracja peryferii*, Gdańsk 2003, s. 35.

<sup>8</sup> „Lęk przed nacjonalizmem sprawiał, że pojawiała się tendencja do odrzucenia w ogóle problematyki tradycji, kolektywnej tożsamości i pamięci zbiorowej”. Tamże, s. 47.

fazy nacjonalistycznej choroby (tak tłumaczyć można częstotliwość, z jaką powracano do przemówienia Mariana Jurczyka w Trzebiatowej i do konfliktu wokół podziękowania dla KOR-u na zjeździe Solidarności).

Pochylenie się z troską nad pamięcią zbiorową, działania zmierzające do jej pielęgnowania nie mogły z natury rzeczy zasługiwać na pochwałę, skoro jako najważniejszy polski problem zdiagnozowano mocną, nacjonalistyczną tożsamość. Jej osłabienie traktowano jako rzecz dla demokracji pożyteczną, choć wypada dodać, iż z rzadka tylko marzono o jej radykalnym wykorzystaniu.

Z tym niechętnym do historii nastawieniem bardzo dobrane harmonizowała nowomodna retoryka postmodernistyczna, którą w publicystycznym ujęciu sprowadzono do zbioru kilku tez, zaprzeczających obiektywności badania historycznego i sprowadzających wszelkie dyskusje na temat przeszłości do niekonkluzywnego dialogu, w którym zdarzają się nie racjonalne argumenty, a jedynie niewspółmierne (więc równouprawnione) i subiektywne narracje. Przeszłość z tej perspektywy jawiła się jako chaos zdarzeń i wrażeń, a wszelkie próby jego uporządkowania nie były niczym więcej, jak tylko próbą narzucenia swojej narracji innym. Jedyną obiektywnością przeciwstawianą tej kakofonii subiektywnych narracji było jednostkowe cierpienie, które niespodziewanie zaczęło nabierać waloru jedynej uprawnionej kategorii historycznego wartościowania.

IV. Efektem wszystkich tych nakładających się na siebie, choć przecież nie tożsamych przeświadczeń, stało się stworzenie swoistego projektu polityki historycznej, który inaczej niż w okresie Solidarności miał nie służyć odnowieniu, czy też przywróceniu zbioru społecznych i narodowych mitów, ale wręcz przeciwnie ich demaskacji, czy nawet kompromitacji. W ramach tego demistyfikacyjnego projektu zerwany został dawny sojusz między „kapłanami” zbiorowej pamięci i wyobraźni a historykami. Dawniej prawda była sprzymie-

rzeniem w procesie odzyskiwania zawłaszczonej przez komunistów przestrzeni symbolicznej, teraz mogła posłużyć jako taran rozbijający skamielinę megalomanii. Historia „krytyczna” zajęła miejsce historii „bohaterskiej”, którą uznano za zupełnie już bezużyteczne świadectwo szkodliwej naiwności poprzednich pokoleń. Szkodliwej, bo nie pozwalającej dostrzec tego, że historia ma więcej stron mrocznych niż jasnych, co w efekcie musi prowadzić do budowania tożsamości wspólnoty na fałszywym fundamencie idealizowanej przeszłości. Odrzucenie tej rzekomo anachronicznej wizji historii jawiło się jako inicjacja w dorosłość, widomy znak porzucenia wieku dziecięcego. Dorosły bowiem nie musi karmić się fałszywymi obrazami rzeczywistości, zdolny jest do konfrontacji z jej prawdziwym kształtem.

Historia „krytyczna” jednak, o czym zdawali się zapominać jej entuzjaści, choć rości sobie prawo do obiektywizmu i prawdziwości, żadną miarą nie może być jednak za taką uznana, jako że w samej swej strukturze jest jedynie dopełnieniem, czy – powiedzmy – antytezą, której zamierzeniem jest korekta tezy pozytywnej. Jej narracja jest narracją „tak, ale...”. Tak, Polacy dzielnie walczyli z nazistami, ale... Tak, wskazać można wiele przypadków zachowań heroicznych, ale... W istocie rzeczy więc historia „krytyczna” jest uprawnionym składnikiem historycznego badania, o ile wraz z historią „bohaterską” prowadzi do wypracowania syntezy, do budowy zrównoważonego obrazu przeszłości, w którym we właściwy sposób wyważone zostaną proporcje między tym, co szlachetne i tym, co haniebne.

Z takim rozumowaniem zgodziłoby się zapewne wielu zwolenników historii „krytycznej” – ich błąd tkwił gdzie indziej: w przekonaniu, że „teza” nie wymaga żadnych z naszej strony zabiegów, że pozostaje silna, powszechnie w świadomości Polaków obecna, że sama w naturalny sposób odradza się i reprodukuje.

Większość z opisanych tutaj poglądów budzi poważne wątpliwości, szczególnie jeśli brać je w bardzo kategori-

nej formie (a tak się właśnie w latach dziewięćdziesiątych działo). Prowadzenie polityki historycznej żadną miarą nie musi oznaczać manipulowania przeszłością i kneblowania swobodnej dyskusji. To, że historyk prowadząc swoje badania, zastanawia się także nad ich społecznymi konsekwencjami, że czyni rozróżnienie między poszukiwaniem wiedzy i jej popularyzacją (i tej drugiej nie lekceważy), nie jest przecież niczym złym, ani groźnym. Podobnie nie byłoby czymś nagannym, gdyby ludzie mediów poczuli się zobowiązani do przypominania ważnych postaci i szlachetnych wzorów historycznych nie tylko w konwencji obowiązkowej i prerażliwie nudnej celebry, ale z prawdziwym przekonaniem i przy użyciu nowoczesnych metod. Nie jest też tak, by za quasi-totalitarne należało uznać dokonywanie przez państwo świadomego wyboru doświadczeń historycznych, na które chce położyć nacisk w edukacji publicznej albo czcić w sposób szczególnie uroczyście.

Nie pomniejszając znaczenia konsensusu proceduralnego, trzeba jednak zwrócić uwagę, że w świetle doświadczeń z konstruowaniem systemów demokratycznych w naszej części kontynentu, lekceważenie konsensusu podstawowego byłoby bardzo pochopne. Konsensus podstawowy ma w istocie rzeczy ogromne znaczenie nie tylko dla trwałości, ale także dla możliwości rzeczywistego zaistnienia demokracji. Kulturowy – a zarazem wspólnotowy – fundament nigdy nie może zostać zignorowany, bo jego jakość bezpośrednio wpływa na żywotność konstrukcji ustrojowych. Te same instytucje ustanowione w Polsce, Ukrainie i Rosji błyskawicznie się różnicują – jedne upodobniają się do tych, jakie widzimy w skonsolidowanych demokracjach Zachodu, inne stają się jedynie fasadą, maskującą prawną formą niedemokratyczną zgoła treść.

Podobnie błędne okazało się rozpoznanie „twardej, skostniałej tożsamości” jako najważniejszego polskiego problemu. Jeżeli w Polsce ujawniły się jakieś poważne zagrożenia dla demokracji, to z pewnością nie było wśród nich me-

galomanii narodowej czy nacjonalizmu. Można by było z powodzeniem dowodzić, że prawdziwa jest raczej teza zupełnie przeciwna, wskazująca na fatalne skutki niskiej samooceny Polaków, z jaką obecnie mamy do czynienia.

Nieporozumieniem jest też przekonanie, że przestrzeń symboliczna została przez nas u zarania III Rzeczypospolitej na trwałe zagospodarowana, a skonfiskowana kiedyś pamięć ostatecznie rewindykowana. Świadomość jednego pokolenia nie przekłada się automatycznie na wiedzę kolejnego. To, co wiemy, nie jest w żadnym razie oczywiste dla tych, którzy przychodzą po nas. Edukacja zawsze zaczyna się od samego początku, a jej naturą jest wielokrotne powtarzanie tego samego – tyle, że nie tym samym ludzkiem. Jeżeli nie będziemy stale dbać o to, by w dalszym ciągu opowiadać o naszej przeszłości i naszych bohaterach, siatka symboli, z pomocą której się rozpoznajemy i rozumiemy, zacznie się kruszyć. Byłoby zaś to skrajnie niebezpieczne właśnie teraz, bowiem przestrzeń społeczna przesycona nie jest dziś wcale naiwnym idealizmem, czy złowrobnym nacjonalizmem, ale raczej wszechprzenikającym sceptycyzmem, każącym w każdym ludzkim działaniu dopatrywać się egoizmu czy oszustwa. Mieszanka sceptycyzmu i cynizmu może mieć właściwości paraliżujące w tym samym stopniu, co skostniała wizja antel-skiej przeszłości.

Nie jest również wcale rzeczą oczywistą, czy odzyskanie niepodległości musi rzeczywiście oznaczać trwałe zerwanie sojuszu między prawdą historyczną i historycznym mitem. Niewątpliwie historycy mają teraz większe możliwości podejmowania odważnych wypraw w celu eksploracji ciemnych stron naszej przeszłości, nie wynika z tego jednak w sposób konieczny to, iżby mieli swoją działalność ograniczać do obrazoburczych poczynań. Niezależnie od tego, jak bardzo surowo oceniać polską historię w XX wieku (nie mówiąc już nawet o poprzednich stuleciach), prawdą pozostaje to, że proporcje między tym, co dobre i tym, co złe wypadają zdecydowanie na korzyść tej pierwszej kategorii. Taki

pozytywny bilans jest pewny, jeśli tylko będzie w elementarnym sensie sprawiedliwy.

V. Odtrąbiony w III Rzeczypospolitej odwrót od historii nie oznaczał braku historycznych sporów, ale silne artykułowanie w nich nastawienia demistyfikacyjnego i krytycznego. W przypadku debat na temat Solidarności i oceny PRL-u można by wyróżnić w nim dwie fazy – w pierwszej docho- dzilo do kompromitacji pozytywnych symboli i układów odniesienia. Nie szło tu zwykle o ich totalne zanegowanie, ale o rozbicie jednolitości ich wizerunku w społecznym por- strzeganiu. „Białe” okazywało się mieć tak poważne szare smugi, że w pewnym sensie zdawało się być w ogóle szare. W drugiej fazie można było mówić o pewnej relatywizacji „czarnego”, które także – choć niejako z drugiej strony – przybliżało się do szarości. Oczywiście, historia okresu po- koju tym się różni od historii przekazywanej w momentach kryzysu, że możliwe staje się dostrzeganie problemów skom- plikowanych, dwuznacznych wyborów czy nieostrych gra- nic. Nie ma też już żadnych powodów, by unikać mówienia o tym, co wstydlive czy bolesne. Idzie jednak o zachowanie pewnego umiaru w dekonstrukcji kolorów i wartości, tak by w końcu nie okazało się, że wszystko jest jednolicie szare. Nie na tym polega obiektywizm historyka, że unika warto- ściowania, lecz że wyjaśnia, jakie stanowisko sam zajmuje i jaką miarę przykładła oceniając dawne czyny i zdarzenia.

Odyskanie niepodległości stworzyło szansę do prowa- dzenia otwartej debaty na szczególnie trudne tematy – w pierwszym rzędzie o relacjach polsko-żydowskich. Tutaj demistyfikacja nie była ideologicznym odruchem, lecz do pewnego przynajmniej stopnia koniecznością, wynikającą z powinności zmierzania się z mrocznymi kartami naszej przeszłości. Skoro wspólnota narodowa jest łańcuchem prze- szłych, teraźniejszych i przyszłych pokoleń, nie ulega wą- pliwości, że nie wolno nam dokonywać w badaniu historii stronniczego wyboru i uchylać się od odpowiedzialności za

to, co było w niej przerażające, podłe i złe. Debata histo- ryczna na temat mordu w Jedwabnem dobitnie pokazała, że jako wspólnota jesteśmy zdolni do poważnego rachunku sumienia. Stanowiska radykalne – to negujące polską odpo- wiedzialność i to próbujące na podstawie Jedwabnego bu- dować uogólniający sąd na temat antysemityzmu kryjącego się podobno w samym jądrze polskiej kultury – zostały zmarginalizowane.

Jednocześnie jednak – zwłaszcza jeśli porównać ton de- baty na temat Jedwabnego z tonem wciąż nie zamkniętej dyskusji o stosunkach polsko-ukraińskich – zaznaczyła się pewna asymetria ocen. Bardzo rzeczą upraszczając, w publi- cystyce dotyczącej ludobójczego mordu w Jedwabnem bar- dzo mocno wyartykułowane zostało przekonanie, że w obli- czu nagiej prawdy ludzkiego cierpienia przystoi jedynie mil- czeć, ograniczając się do potępienia potwornego bestialstwa zbrodniarzy, a wszelkie próby zrozumienia tej tragedii i przy- najmniej częściowego wyjaśnienia motywów działania sprawców, są w istocie rzeczy jedynie próbą ich usprawie- dliwienia. Zbrodnia w Jedwabnem nie upoważniała więc do historycznych eksploracji skomplikowanych stosunków pol- sko-żydowskich w okresie okupacji sowieckiej. Inaczej rzecz- miała się w przypadku mordów na Wołyniu – zbrodnie te ukazywano zwykle podkreślając znaczenie historycznego kontekstu, dramatycznego położenia Ukraińców, złej polityki narodowościowej II Rzeczypospolitej, ciężaru wzajemnych przewin. Chwilami można było odnieść wrażenie, że o ile Jedwabne jest opowieścią o strasznych ludziach, o tyle Wo- linyń przemienia się niepostrzeżenie w zupełnie inną historię – o strasznych czasach, w których zwykli ludzie zaczynają czynić przerażające rzeczy.

Ta asymetria była być może wyrazem chrześcijańskiego obowiązku zajmowania się raczej belką w swoim oku niż źdźbłem w cudzym, jednak odzwierciedlało się w niej także pragnienie kruszenia wyidealizowanej tożsamości narodo- wej, której trzeba przed oczy stawiać raczej oskarżenia



o bycie katem, niż dostarczać argumenty wzmacniające przeświadczenie o Polakach jako niewinnych ofiarach obcej przemocy.

Gdy wydawało się już, że równowaga między historią „bohaterską” i historią „krytyczną” została trwale naruszona na korzyść tej drugiej, nieoczekiwanie wybuchł spór o Centrum upamiętniające niemieckich wypędzonych. Konfrontacja z bardzo radykalnym projektem niemieckiej polityki historycznej, starającym się udowodnić, że „belki” tkwią zarówno w niemieckich, jak i naszych oczach, spowodowała zasadniczy zwrot w polskich nastrojach. Sprzeciw wobec prób podzielenia się z Polakami odpowiedzialnością za zbrodnie II wojny światowej miał charakter powszechny do tego stopnia, że objął nawet większość zaprzysięgłych zwolenników historii „krytycznej”. Powrócił język kategoriicznych sądów, pełen otwartych nawiązań do narodowej martyrologii i bohaterstwa.

Stworzyło to zupełnie nową sytuację, w której przestał być dziwactwem pogląd zakładający, że niezbędne jest pielęgnowanie zbiorowej pamięci historycznej i że spoiwem wspólnoty – jak to trafnie skonstatował przed kilku laty Andrzej Nowak – może być duma z dokonań, ale nie poczucie wstydu, które samoistnie nie tworzy więzi społecznej.

Trudno dzisiaj rozstrzygnąć, na ile trwała okaże się ta zmiana nastrojów, na ile ugruntuje się przekonanie, iż polityka historyczna nie jest współcześnie anachronizmem, ale powinnością. Może być i tak, że będzie to jedynie krótki epizod w dziejach polskiej antypolityki historycznej. Warto jednak spróbować dobrze wykorzystać tę szczególną koniunkturę, bo skala naszych zaniedbań w dziedzinie wspólnotowej pamięci i tradycji jest doprawdy ogromna. Warto uczynić co w naszej mocy, by odtworzyć więź pomiędzy pamięcią i nadzieją.

## SZKOLNA HISTORIA – NOTATKI Z POLA BITWY

„Historia w polskiej szkole nie odpowiada potrzebom współczesności”, „młodzieży nie interesują nieustanne opowieści o naszej bohaterskiej przeszłości, czy dokonaniach sprzed pięciu wieków”, „komu w dobie internetu jest «to wszystko» jeszcze do czegoś potrzebne i czemu gadanie o podobnych starociach ma służyć?” – te, i podobne w tonie lub treści pytania, a raczej twierdzenia, stanowią dominantę współczesnego polskiego dyskursu wokół edukacji humanistycznej w ogóle, a roli nauczania historii w szczególności. Nie ma się co oszukiwać – w sporze z podobną „argumentacją” bezwzględnie przejawia się sienkiewiczowska zasada, rodem z krótkiego dialogu Krotona z Chilonem: „Pójdź do mnie z filozofią, a ja dam ci tylko jedno uderzenie głową w brzuch i zobaczymy, kto wygra”. Można się oczywiście pocieszać mile tehcącą myślą, że w owym starciu woła z Arystotelesem wąska grupka obrońców tradycyjnej edukacji humanistycznej uosabia szlachetny zezwłok wielkiej myśli przebity dwoma rogami nie zainteresowanych istotą zagadnienia, ale chcących „iść z duchem czasu” mediów z jednej strony i rozmaitych decydentów o ćwierćinteligentkim rodowodzie, potrzebach i nawykach z drugiej – zatem „nasze zza grobu zwycięstwo”. Problem w tym, że gra toczy się nie o, by tak rzecz ująć, kasandryczną satysfakcję, a, co najmniej, o tysiące gotujących się do wejścia w miejsce dotychczasowych elit, młodych, polskich inteligentów, dziś jeszcze *in spe*.

Nie sposób także pozbyć się wrażenia słabości, nie tylko skali i zasięgu głosu przeciwników redukcji treści humanistycznych w polskiej szkole, w tym deglomeracji historii